

napisał Stanisław Sławiński, Białystok

Bałasz Michał

ul. Nowy Świat 14/1m9.

Pochodzę z Wileńszczyzny, skąd pochodzą moi rodzice. W chwili wybuchu wojny w 1939-tym roku mieszkałem w Wilnie, gdzie mój ojciec był nauczycielem. Po nawaie wrześniowej często wyjeżdżałem z miasta w poszukiwaniu żywności. W 1940-tym roku zacząłem uczęszczać do dziesięcioletniej szkoły z białoruskim językiem nauczania. Tu dotrwałem do czerwca 1941-go roku tj. do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Zmienił się okupant, ale problemy pozostały: jak przeżyć. Rodzina znalazła się na krawędzi biologicznego przetrwania. W poszukiwaniu chleba udałem się do miejscowości Stary Dwór, gdzie moi rodzice mieli posiadłość. Tu, gdy sytuacja wydawała się beznadziejna - stał się cud. Pewnego ranka, latem, przyjechała po mnie okazała bryczka. Powożący końmi mężczyzna oznajmił, że przyjeżdża po mnie z polecenia Stanisława Jasińskiego. Był to mój kolega, który wiedział o mojej niewesołej sytuacji i w ten sposób podawał mi pomocną dłoń, "czynnik cud". Natychmiast, bryczką, udałem się do niego do miejscowości Duniłowicze. Okolica była piękna; w sąsiedztwie leżały rozległe majątki Platerów, Przeździeckich i Tyszkiewiczów.

W Duniłowiczach Stanisław Jasiński zaproponował mi pracę w miejscowym młynie. Przystąpiłem na to z ochotą. Gdy wokół panował głód, zajęcie młynarskie miało jeszcze swoje dodatkowe walory. Moje zajęcie nie miało charakteru bezpośrednio produkcyjnego lecz administracyjny. Jeszcze przed wojną uczęszczałem w Wilnie do gimnazjum kupieckiego im. braci Jabłkowskich. Wprawdzie nauki nie skończyłem bo wojna mi w tym przeszkodziła, ale o rachunkowości miałem już pojęcie wystarczające jak na trudne warunki okupacyjne. Za "pierwszego Sowietą" / wrzesień 1939-czerwiec 1941 rok / byłem rachmistrzem w nadleśnictwie zajmującym się

wyrębem lasów. Ta praktyka właśnie teraz miała się przydać.

Na wstępie kolega zapytał mnie wprost: ile zboża mi potrzeba. Pokonując wewnętrzne opory i sumitując się wielce wydusiłem z siebie, że pud /16 kg/, bo taką miarą zboża na tamtejszym terenie wówczas się posługiwano. Jasiński wyrażnie się stropił: tak mało? Odpowiedziałem, że i 200 kg nie będzie za dużo ale nie mam odwagi prosić aż o tyle. "Tożadna trudność", odpowiedział; odsypiemy Niemcom i będziesz miał. Tak też i zrobiliśmy. Kiedy taką ilość zboża przekazałem rodzinie, zapanowała niepewność: czy ja aby nie przesadziłem? Czy z kolegą nie ściągniemy na siebie i nasze rodziny nieszczęścia?

Tu, w Duniłowiczach, miałem sposobność obserwować i podziwiać niemiecką pracowitość opartą na solidnej, przemyślanej organizacji pracy. Niemców było tylko dwóch a jak wiele i w jak krótkim czasie zdołali dokonać. Oni to restytuowali przedwojenny samorząd w osobach pisarza, rachmistrza i autentycznego wójta przedwojennego, który w niewytłumaczalny sposób, dzięki chyba protekcji boskiej, zdołał przetrwać sowiecką okupację. Niemcom nie przeszkadzało, że ci ludzie uosabiają w jakimś stopniu przedwojenne państwo polskie. Dla nich liczyła się sprawność działania i doświadczenie tych ludzi.

Zaczynały się już jednak ponure czasy i nieludzkie praktyki niemieckie. Okupanci przystąpili do ograniczania praw ludności żydowskiej. Stanowiło to wstęp do fizycznej eksterminacji Żydów. Miałem pewne możliwości, aby im, tj. Żydom, pomagać. Posługując się urzędową pieczęcią wystawiałem im zezwolenia na prowadzenie niewielkich warsztatów rzemieślniczych jak np. grempłarnie. Czyniłem to oczywiście w imieniu władz nie-

mieckich. Kiedy zaczęto zamykać ich w gettach, wykradłem z depozytu znaczną ilość dowodów osobistych, ostemplowanych i podpisanych in blanco. Dzięki nim Żydzi mogli nimi legitymować się i w miarę swobodnie poruszać się w terenie.

W Duniłowiczach przebywałem przez rok. Znowu wróciłem do Starego Dworu. Czasy były już inne. W terenie, coraz śmielej i intensywniej poczynają sobie oddziały partyzanckie Sowietów. Były one bezwzględne w działaniu. Partyzanci pochodzili z centralnej Rosji a nie z Litwy czy Białorusi. Typowym przykładem ich surowego działania była dla mnie sprawa Michnionkównej. Jej ojca rozstrzelali Niemcy na podstawie donosu miejscowej ludności. Ona sama otwarcie przyznawała, że w czasach władzy sowieckiej jej ojciec okazał się złym człowiekiem i wyrządził innym ludziom wiele krzywd. Teraz ona, tu, w Duniłowiczach, niezbyt osętroźnie śledziła miejscowych Niemców. Ponieważ było to widoczne - powiedziałem jej o tym przestrzegając, że to może źle się skończyć. Później, gdy zmieniły się czasy, ona chciała mnie rozstrzelać. To, w całej skomplikowanej sytuacji, nie było czymś nadzwyczajnym. Na uwagę, wręcz zadumę zasługuje motywacja jej postanowienia: "On mówi po polsku a więc jest polskim panem." I pomyśleć, że to wystarczyło. Przypomniałem jej wówczas o tym, jak to było w Duniłowiczach i to mnie uratowało. Żeby obraz tej sprawy był pełny należy dodać, że ona - Michnionkówna - chodziła ze mną do wspomnianego gimnazjum białoruskiego i swobodnie posługiwała się językiem polskim.

Penetracja sowieckich oddziałów partyzanckich w terenie była tak intensywna, że opierały się jej jeszcze miasta i miasteczka. Postanowiłem przenieść się do jakiegoś miasta. Mój wybór padł na niewielką miścinę - Postawy. Tu zetknąłem się ze Stanisławem Jasiukiewiczem /obecnie znanym aktorem/ zatrudnionym w miejscowej elektrowni oraz Bolesławem Wojciechowiczem, który później,

w Polsce Ludowej był rektorem Politechniki Poznańskiej. Jego ojciec był młynarzem w tym miasteczku. Wywieziony przez Rosjan trafił do armii Andersa a po wojnie wrócił do kraju.

O partyzantach sowieckich mówiono źle, nawet ze zgrozą. W okolicach Naroczy stacjonował polski oddział AK dowodzony przez "Kmicica". Ze strony Sowietów nie spodziewano się niczego złego. W czasie posiłku, gdy broń była złożona w kozły, otoczyli ich Rosjanie i wystrzelali. Poinformował o tym jeden z akowców, który cudem przeżył masakrę. Opowiadał mi o tym osobiście. Stanowiło to zapowiedź nadchodzących, bardzo trudnych czasów.

Wobec takich faktów, o których mówiono powszechnie, Niemcy zaczęli organizować samoobronę w miasteczkach. Rozpoczęli od ogłoszenia mobilizacji i naboru. Ja również, jak i wielu moich kolegów, zgłosiłem się, bo takie było zalecenie władz AK i tam poszli też nasi oficerowie. Niemcy najchętniej przyjmowali właśnie nas, Polaków. Wiadomo było, o co tu właściwie chodzi: o mięso armatnie, wydobywanie kasztanów z ognia cudzymi rękoma. Niemcy zapewnili umundurowanie oraz szkolenie bojowe. To ostatnie bardzo było nam potrzebne. Szkolenie, bardzo intensywne, trwało 6 m-cy. Po jakimś czasie ogarnęły mnie wątpliwości: czy to co robimy jest słuszne? Czy to nie jest kolaboracja? Ze swoimi wątpliwościami zwróciłem się do swojego kolegi Szymona. Ten, rozejrzawszy się uważnie dookoła, powiedział: "za kilka dni przekonasz się, że to wszystko ma sens. Dziś powiem ci tylko tyle: już nasi o tym myślą."

Czas upływał i przynaglał Niemców, bo oddziały partyzantki sowieckiej rosły w siłę i poczynaly sobie coraz śmieiej. W okolicy zaatakowały w wąwozie niemiecki oddział pancerny i go

rozbiły. Otrzymywały zrzućy a w nich wszystko, co jest żołnierzowi potrzebne. Nic dziwnego, że Niemcy nalegali na przyspieszenie naszego szkolenia. Koniec kursu wypadł w lutym 1944-go roku. Niemcy stwierdzili, że osiągnęliśmy zadowalający stopień wyszkolenia bojowego i możemy stawić czoła w walce przeciwnikowi. Wówczas z naszej strony zwrócono się do Niemców z propozycją zorganizowania pożegnalnej kolacji, bo w Polsce od dawna istnieje taki zwyczaj. Niemcy zgodzili się. W czasie kolacji bawiono się wesoło. Niemcy, których było czterech lub pięciu, nie żalowali sobie bimbrow. W pewnej chwili, na umówiony znak, obecni na przyjęciu Polacy założyli na rękawy biało-czerwone opaski a dowódca Jasiewicz oznajmił osłupiałym Niemcom, że są aresztowani. Natychmiast ich rozbrojono. Zapowiedziano im, że nic nie grozi ani im ani ich rodzinom pod tym wszelako warunkiem, że i naszym rodzinom też nic się nie stanie.

Załadowaliśmy sprzęt a było go nie tak mało i odeszliśmy. W ten sposób miasteczko zostało w ogóle bez obrony i teraz Niemcy musieli sami tym się zająć. Nasze oddziały odeszły w kierunku Naroczy, gdzie nastąpił podział nas, żołnierzy, pomiędzy oddziały istniejących już brygad. Część z nas trafiła do III-ej brygady ale zdecydowana większość - tu i ja - znalazła się w IV-tej brygadzie majora Węgielnego.

Znalazłem się w drugim rzucie odchodzących. Pamiętam, że ze mną byli m.in. Jasiukiewicz, Wojciechowicz oraz Obolewicz ze swoimi trzema braćmi. Tenże Obolewicz był po wojnie zastępcą Logi-Sowińskiego a przez jakiś czas dyrektorem Centralnego Urzędu Miar i Wag w Warszawie. Urząd ten mieścił się w Pałacu Saskim.

Forsownym marszem dotarliśmy w okolice Michalin, gdzie uło-

kowało się zgrupowanie oddziałów IV-tej brygady. Tu przydzielono mnie do ochrony sztabu brygady, a zdecydowały o tym dwa względy. Otóż wcześniej, jeszcze w pierwszym okresie okupacyjnego życia, pracowałem z ojcem jako bednarz przy wyrobie beczek oraz damskich butów - drewniaków, bo taka była wówczas okupacyjna moda. Później znalazłem się w elektrowni, o czym już wspominałem. Tu, z różnych elementów składałem radia, zwane "toczkami." Szło to mi nie najgorzej, gdyż jeszcze przed wojną byłem radioamatorem. W momencie wcielania mnie do brygady w sztabie były dwa radia pochodzące ze zrzutów, angielskiej produkcji ale o takiej konstrukcji, że wystarczył moment nieuwagi, błędne podłączenie końcówek, a radio było spalone. Właśnie jedno radio już z tego powodu nie nadawało się do użytku. Podjąłem się uruchomienia drugiego radioodbiornika i to mi się udało. Drugi powód mojego przydziału do ochrony sztabu też miał swoje źródło w latach przedwojennych, kiedy to mieszkałem w Wilnie nad samym brzegiem rzeki a wiosłowanie było dla mnie zajęciem codziennym. Tu, w warunkach partyzanckich, należało zorganizować sprawnie działającą przeprawę. Znalazłem się w oddziale minersko-saperskim por. Szyszki i organizowałem przeprawy przez przeszkody wodne.

Od wschodu zbliżał się front. Wówczas to na naszym terenie ukazała się, dziwna w swojej treści, ulotka-odezwa takiej mniej więcej treści: "Zbliżają się potężne, zwycięskie wojska radzieckie. Jest to potężna siła, odrzucająca zdecydowanie armie niemieckie na zachód i z tego powodu należy ją traktować jako naszego naturalnego sojusznika. Siły niemieckie są na wyczerpaniu. To potwierdza konieczność naszego współdziałania. Brak stosunków dyplomatycznych pomiędzy rządem ZSRR a polskim rzą-

dem na emigracji nie stanowi w tym względzie istotnej przeszkody tym bardziej, że takie stosunki istnieją z Anglią i USA. Nasz wspólny interes - pokonanie Niemiec - wymaga od nas życzliwego przyjęcia wkraczających oddziałów Armii Czerwonej."

I rzeczywiście, w pierwszym okresie tak było, bo żołnierz jest żołnierzem. Napotykali żołnierze radzieccy odnosili się do nas z sympatią. Pozdrawiali nas słowami "Zdarowa Arły". Myśmy te sympatie odwzajemniali. Także przelatujące nisko radzieckie samoloty, tzw. "Kukuruźniki" będąc nad naszymi pozycjami wyłączały silniki a piloci wychylali się przez burty pozdrawiając nas serdecznie. Budziło to jednak nasz niepokój, którym podzieliłem się z Obolewiczem: dziwi mnie to, że sowieckie samoloty zamiast lecieć dalej i inwigilować front latają nad nami. On na to odpowiedział: podzielam twoje obawy ale wiem, że obowiązkiem żołnierza jest wykonywanie rozkazów." Nasze dowództwo miało świadomość, że nadchodzą trudne dni, że nie będzie łatwo. Tymczasem jednak obsadzono nami odcinek frontu w okolicach Meyszagoły. Przed nami rozciągało się jezioro a po drugiej jego stronie, w dąbrowie, usadowili się Niemcy. Doszło do ostrej potyczki: z naszej strony nadlatywały dwusilnikowe bombowce sowieckie i ciężkimi bombami atakowały niemieckie pozycje w lesie. Od strony niemieckiej natomiast startowały myśliwce i strącały bombowce do jeziora. Naliczyliśmy ponad 50 strąceń po obu stronach łącznie. Obok nas stacjonowała sowiecka bateria, którą Niemcy trafili bez trudności. Widziałem czołgi wylatujące na minach jak zapałki.

Po przełamaniu frontu pod Meyszagołą przeszliśmy nad Wilię. Tu zorganizowałem przeprawę pontonową, przez którą przeszedł, jako pierwszy, kobiecy pluton sanitariuszek, gdyż dowództwo liczyło się z dużą ilością rannych. Wilno było otoczone przez

Niemców którzy doskonale wiedzieli, że miasta nie zdołają utrzymać. Widziałem, jak niemieckie samoloty transportowe zrzucały skoczków spadochronowych. Byli to najczęściej Kałmucy oraz inni jeńcy, byli żołnierze Armii Czerwonej. Mieli za zadanie osłoneę wycofujących się oddziałów niemieckich. Praktycznie ci ludzie byli już skazani na śmierć. Zgrupowanie wojsk niemieckich zostało wkrótce rozbite na kilka mniejszych kotłów. Niemcy, słysząc polski język, poddawali się nam. Panicznie bali się niewoli <sup>niemieckiej?</sup> niemieckiej gdyż wiedzieli, że Rosjanie nie mają czasu zajmować się jeńcami, chyba że do niewoli trafiały duże ilości żołnierzy. Grupami do 50-ciu osób "nie zawracali sobie głowy". Rozstrzeliwali na miejscu. My przestrzegaliśmy konwencji o traktowaniu jeńców wojennych. Dlatego jeszcze wcześniej w naszych oddziałach partyzanckich byli jeńcy wojenni Niemcy. Zatrudnialiśmy ich do służb pomocniczych, np. przy kuchni. W brygadzie "Szczerbca" byli np. Francuzi, którzy zbiegli od Niemców, u których remontowali czołgi i sprzęt artyleryjski.

Służąc w ochronie sztabu, podczas licznych kontaktów z Rosjanami widziałem z odległości 2-3 metrów gen. Czerniachowskiego: ubrany w czarną czapkę-papachę i jakieś ciemne skóry, jeździł Willisem. Przy spotkaniu, przelotnym, był miły, rzucił nam kilka grzecznościowych słów.

W kontaktach z naszym dowództwem Rosjanie twierdzili, że skoro znajdujemy się na tyłach zaprzyjaźnionych wojsk, powinniśmy dokonać koncentracji, reorganizacji i sformować się w pułki. Wśród nas zakradała się coraz większa nieufność co do czystości intencji Rosjan tym bardziej, że naszych oficerów zaproszono na spotkanie z dowództwem sowieckim. Pamiętam, że z oficerów został Obolewicz, który był artylerzystą i przez



cały czas zajmował się zdobytą na Niemcach olbrzymią haubicą, tak dużą, że zaprzęgano do niej 6 koni. Wieczorem, pełni niepokoju, poszliśmy spać. Wtem przybył goniec z alarmistyczną wiadomością: dowództwo aresztowane. Natychmiast ogłoszono pobudkę i zarządzono forsowny marsz w kierunku Puszczy Rudnickiej. W czasie marszu, o czwartej rano, dopadli nas Rosjanie, gdy byliśmy o 200 metrów od pierwszych drzew a czołowe oddziały już zagłębiły się w las. Ponieważ byłem przy sztabie, znajdowałem się w środku kolumny i dostałem się do niewoli. Podejmowanie walki z Sowiecami w tych warunkach było bazsensowne. Oni, źli, że musieli tyle nas gonić, natychmiast nas otoczyli i ustawili broń maszynową.

Od pierwszej chwili rozpoczęli poszukiwanie oficerów i naszych dowódców ale spotkali się z całkowitym milczeniem. Po odpoczynku zaprowadzili nas do obozu, w którym trzymali nas około miesiąca. Karmiono nas marnie. Jeśli ktoś miał swoje, jakieś wcześniejsze racje, ten miał lepiej. Do obozu przywożono sarny z Kaukazu, pakowane w całości do beczek. Podczas rozpakowywania były one tak zielone, że przypominały starą, zaśniedziałą blachę na dachach.

Do obozu przyjechał pułkownik Soroka /podobno z Putramentem, ale go nie widziałem/ i zaczął agitować nas do wstępowania do armii Berlinga. Mówił, że w Lublinie powstał polski rząd i że winniśmy temu rządowi lojalność. My, w swojej masie, zgodnie odmawialiśmy: oddajcie nam Wilno a wtedy będziemy rozmawiać. Nasz opór powiększała sama postawa tych wysłanników, podobno Polaków, którzy właśnie po polski bardzo słabo mówili: "Palaki, siewodnią przez radio padawali...". Taka była ich polszczyzna. Gdy te zabiegi nic nie dały, władze obozowe przyjęły wobec nas nową a właściwie typową dla sowieckich obyczajów postawę. Najpierw dokonano bardzo szczegółowej rewizji. Zabra-

no nam wszelkie nasze dokumenty, które natychmiast palono. W ten sposób każdy z nas stawał się nikim, człowiekiem bez imienia, nazwiska, narodowości, jakiegokolwiek przeszłości. Rzeczy droższe, np. zegarki, rabowali bez najmniejszej żenady. Rewidowali nas NKWD-yści, młodzi, szesnastoletni chłopcy, bo starsi byli na froncie. Ci młodziacy byli szczególnie niebezpieczni. Po rewizji sformowano z nas kolumnę marszową i skierowano do najbliższej stacji kolejowej. Po drodze mijaliśmy ludzi, którzy rzucali nam jedzenie. Załadowano nas do bydłych wagonów. Ponieważ załadunek odbywał się według porządku alfabetycznego, wszedłem do wagonu jako jeden z pierwszych i zająłem miejsce w rogu. Nie zauważyłem wysokiej śruby, która odtąd przez całą podróż mi dokuczała, bo wagon był przepełniony. Z boku na bok przewracaliśmy się na komendę. Włączeni do naszego wagonu trzej Włosi /pięknie śpiewali/ leżeli wprost na naszych nogach.

Wieziono nas przez Mołodeczno. Tu, wieczorem przeżyliśmy w zaplombowanych wagonach ciężki nalot niemiecki. Na szczęście nas nie trafiono. Podróż trwała około półtora tygodnia. Karmono nas suszoną rybą. Dawano też pewne racje machorki, za które nałogowi palacze oddawali swoje skromne racje żywnościowe. Podczas postoju w Orszy niektórzy z naszych kolegów dopadli do wody, bo pragnienie po rybach było nie do wytrzymania. Oni to wkrótce dostali bardzo silnej biegunki. W sąsiednim wagonie koledzy wysadzili jednego z chorych tyłkiem przez okienko pod sufitem. Stojący w pobliżu posturunek sowiecki oddał serię z automatu. Pochowaliśmy kolegę między torami na stacji w Orszy.

Do Kaługi-celu naszej podróży - dotarliśmy rano i nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom i oczom: powitała nas orkiestra skocznym krakowiakiem. Nadzorujący nas w czasie pod-

róży konwój natychmiast gdzieś się zawieruszył i nie można go było odnaleźć. Stąd nasze pretensje i skargi na grabież naszych rzeczy m.in. zegarków nie odniosły skutku, bo nie było oskarżonych.

Ze stacji skierowano nas do koszar pułku czołgów i ulokowano w hangarach po czołgach /pułk był na froncie/. Po tygodniu zabrano nam nasze cywilne ubrania a ubrano w mundury Armii Czerwonej, min. w "gimnastiorki". Od tego momentu stanowiliśmy "361 strzelecki zapasny pułk". Naszym dowódcą został pułkownik Jermołow, do 1939-go roku ambasador Związku Radzieckiego w Rydze. Wobec nas, Polaków, był człowiekiem rzeczowym; wobec swoich - wyjątkowo bezwzględny. Rosjanie bali się go jak ognia.

Już w czasie przemarszu, tuż po umundurowaniu - z bani do pułku - ani jeden z nas nie miał gwiazdy przy mundurze. Rosjanie wściekali się na to spostronowanie ich emblematu. Rozpoczęło się szkolenie - nowy powód do zaskoczenia Rosjan. My stanowiliśmy kwiat młodzieży Wileńszczyzny. Byliśmy na ogół wykształceni, o wojaczce też mieliśmy nieliczne pojęcie. Przyspieszono więc tempo szkolenia: ćwiczenia, codzienne biegi na wytrzymałość do 10 kilometrów z pełnym uzbrojeniem i wyposażeniem, codzienne defilady. Nie próżnowali też politycy; Żołnierz radziecki, mówili, ma po przysiędze dwie drogi przed sobą: albo zostać bohaterem albo żołnierzem. Ostatnią kulę powinien zachować dla siebie. O niewoli nie ma mowy.

Wreszcie nadszedł dzień przysięgi, do której - na początek wybrano najmłodszych. Ustawiono na placu, był sztandar pułkowy a wyznaczony oficer czytał rotę przysięgi wojskowej: "Ja, bajec Krasnoj Armii..." - cisza. Powtórzył - nadal cisza. Konsternacja. Ktoś podpowiedział odczytanie roty po polsku, bo

może nie rozumiemy. "Ja, żołnierz Armii Czerwonej...", cisza. Wybuchł skandal. Natychmiast odebrano nam mundury, ubrano w stare łachy i wywieziono do lasu na "lesopilkę". A był to już listopad 1944-go roku, na tamym terenie zima już w pełni. Myli się ten kto sądzi, że tajga jest najgroźniejszym lasem. Niebezpieczne są też i lasy podmoskiewskie, w których osiki osiągały wysokość 50-ciu metrów. Przywieziono nas w wyznaczone miejsce, w którym był tylko las i powiedziano: tu będziecie mieszkać i pracować. Swój pobyt rozpoczęliśmy od biegania dla rozgrzewki. Ogniska nie pozwolono zapalić rzekomo w obawie przed niemieckim nalotem. Dzień i noc ryliśmy ziemianki w zamrzniętej na grudę ziemi. Organizacyjnie znalazłem się w IV-tej rocie czwartego batalionu. W sąsiednim, trzecim batalionie był Bernard Ładysz. Z naszego terenu byli też m.in. inż. Czaplą oraz inż. Krzywiec.

Po jakimś czasie, gdy już powstały niezbędne zręby infrastruktury obozowej, władze sowieckie zaczęły szukać talentów. Zgłosiłem się, wspólnie ze Stanisławem Sienkiewiczem, do wykonywania napisów. Obaj, nazywani odtąd chudoźnikami, pracowaliśmy w klubie Andrejewa. Pisaliśmy oraz rysowaliśmy sowieckie Politbiuro oprócz Stalina, oczywiście, bo to było niebezpieczne. Wystarczyło jeden włos skierować nie w tę stronę i kłopot gotowy. Następnie polecono nam wykonanie na dużej ścianie sceny batalistycznej. Akurat był środek surowej, rosyjskiej zimy, myślałem, że już nie wytrzymam. W dodatku Rosjanie ustalili, że skoro chodziłem do dziesięciolatki, to muszę znać język rosyjski. Zdecydowano: będziesz uczył budowy karabinu Diegtiarowa i Maksima. Dopiero teraz zaczęło się najgorsze; musiałem siedzieć w dołku, na mrozie i na odkrytym terenie. Inni mogli chociaż nieco póbiegać. Wróciłem z zajęć kulejąc. Napotkany sierżant zapytał: "czto s Faboju, Michaił?". Odpowiedziałem, że isjaż. Zain-

teresował się moją sytuacją, zaprowadził do "sanbatu", gdzie urzędowała komisja lekarska. Zebrało się bardzo wielu chorych. Komisja uznawała wszystkich za zdrowych. Gdy doszło do mnie powiedziałem, że mam isjaż. "O, eto problem. U nas niet nierwopatologa." Ktoś z komisji podpowiedział, że nerwopatolog jest u kolejarzy. Tam mnie też skierowano. Nerwopatologiem okazała się sympatyczna, bardzo kultuwalna, starsza pani, z pewnością pamiętająca czasy carskie. Powiedziałem jej szczerze, że to co robię w polu mogę robić gdzie indziej, w znośniejszych warunkach. Przyznała mi rację i wystawiła mi zaświadczenie, w<sup>o</sup> którego mogę pracować tylko w suchym i ciepłym miejscu. Skierowano mnie do kompanii stacjonującej przy murze więziennym. To, co tu zastałem, będę pamiętał do końca swoich dni. Za murem, na terenie więzienia, regularnie o godz. 12-tej i 24-ej rozlegał się niesamowity, nieludzki ryk torturowanych tam ludzi. Było to tak regularne, że nie trzeba było patrzeć na zegarek, którego zresztą i tak nie miałem. Nieco później skojarzyłem to z innym faktem. Po drugiej stronie Oki nasi koledzy czasem kopali rowy: 4m na 15 m nie wiedząc, po co to czynią. My, tzn. Sienkiewicz i ja - wiedzieliśmy. Godziennie wieczorem jechała tam fura o szeroko rozstawionych drabinach, na których leżały dwa rzędy trupów. Żołnierze ani nasi koledzy tego nie widzieli, gdyż poruszanie się poza terenem zakwaterowania było wykluczone. Groził za to zarzut dezercji ze wszystkimi konsekwencjami. My, chudoźniki, nie podlegaliśmy tym ograniczeniom.

Swego czasu, idąc główną ulicą Kaługi - Fr. Engelsa, usłyszeliśmy cichy głos staruszki: "Wy Polik?" Tak. "Ja tożę Polik z Kobylenik." Wiedziałem, że jest taka miejscowość na Wileńszczyźnie. Pani Bondar - bo tak się nazywała - trafiła do Rosji w 1914 roku wraz z falą emigracyjną cofającą się przed Niemcami i tu już

pozostała. Zaprosiła nas do siebie. Później tam często bywaliśmy. Gospodyni częstowała nas gotowanymi kartoflami a my odwzajemnialiśmy się czasem kostką cukru. Staruszka przedstawiła nam młodą, dwudziestokilkuletnią kobietę, która w tak młodym wieku była naczelnikiem miejscowej instancji Ligi Obrony Kraju. Pytała nas, gdzie stacjonujemy. Gdy jej powiedzieliśmy, że w pobliżu więzienia i że obecnie szykujemy się do defilady na powitanie marszałka Żukowa /pochodził z Kaługi /, ona ze smutkiem stwierdziła: "Tam Żukow majewu papu ubił." Jak to? Zapytaliśmy zdziwieni. Ojciec był pułkownikiem, odpowiedziała. Zginął w czasie czystek 1937-go roku. Potwierdzenie udziału Żukowa w represjach otrzymałem pośrednio po wojnie, kiedy czytałem w oryginalnej pamiętniki marszałka Rokossowskiego który mówi, że i jego dotknęły represje Stalina. To, że przeżył, zawdzięcza prawdopodobnie Żukowowi, z którym mieszkał w jednym pokoju w czasie wspólnych studiów na Akademii Sztabu Generalnego. Żukow był bardzo wymagający wobec siebie, dużo pracował, na kolanach "chodził" po mapie Europy. Nauka przychodziła mu z wielkim trudem ale wytrwałością, uporem, kosztem snu wytrwale zmierzał do celu. Represje, jak pisze Rokossowski, dotknęły wszystkich nas tylko nie Żukowa, ale rozkazy represyjne wydaje się w stosunku do innych a nie do siebie. Represje trwały i teraz, na naszych oczach. Dwukrotnie w ciągu dnia jechała fura za Okę: rano z tymi, których zamordowano o północy i wieczorem z tymi, którzy rozstali się z życiem w południe.

Pan Omilianowicz pisze o Adolfie Wysockim, który pod Lenino przeszedł na stronę Niemców a później znalazł się w Argentynie. Chciałbym to teraz uzupełnić. W czasie ataku Niemców w Ardenach /grudzień 1944r/, Rosjanie wcielali do oddziałów

wszystkich, kto jako tako trzymał się na nogach. Kompanie formowane na front były pełne. Pewnego wieczora, gdy chciałem dostać się do swojej kompanii, musiałem zatrzymać się w przedsionku, w którym stali Rosjanie, bo dalej przejść nie mogłem. Wówczas to posłyszałem fragment rozmowy Rosjan: "Tu podobno gdzieś są Polacy. Wielu ich pod Lenino legło."

A drugi na to: "Ich bolsze od naszych legło czem od Gierman-cow." Z dalszej rozmowy wynikało, że Rosjanie położyli od tyłu tak silny ogień zaporowy, że można było iść tylko do przodu.

Po przysiędze, jak mówiłem, skierowano nas do wyrębu lasu. Wykonanie normy dziennej  $-8m^3$  - było w tamtych warunkach i przy użyciu tamtych narzędzi niemożliwe. Tępe piły, wycieńczenie i przejmujące zimno czyniły człowieka mało wydajnym. Po jakimś czasie ogłoszono nabór chętnych do budowy obór dla krów w gospodarstwie istniejącym przy jednostce wojskowej. Zaczęli zgłaszać się chętni w nadziei na lepszą pracę, m.in. prof. Prifer, którego wymienia prof. Lorentz w albumie o Wileńszczyźnie, jakiś syn pułkownika; zgłosiłem się i ja. Mianowano mnie brygadzystą. Wkrótce okazało się, że nikt z nas nie zna się na ciesielce. Na szczęście wśród ochotników znalazł się kowal, który wiedział coś niecoś na ten temat, ale jego zdolności manualne były znacznie ograniczone przez fakt kalectwa; nie miał po kilka palców u obu rąk. Zresztą wydajność nas wszystkich była niska z powodu niedożywienia. Liczne też były wypadki przy pracy. Nie wiedzieliśmy na przykład, że spadający świerk, na skutek silnego sprężynowania gałęzi gwałtownie się cofa. Wielu kolegów zginęło, uderzonych potężnym, cofającym się nieoczekiwanie pniem. Ponadto podejmowano liczne ucieczki. W pewnym okresie władze obozowe zaczęły wykazywać

zaniepokojenie zmniejszaniem się liczby więźniów. Ożyła też ponownie sprawa Katynia. Rosjanie wykładali do czytania liczne egzemplarze broszury o ustaleniach międzynarodowej komisji działającej pod auspicjami Stalina. Nikt z nas nie wierzył w oficjalną wersję tych bolesnych wydarzeń. Jeden z naszych kolegów, który był w Kozielsku już po pobycie tam naszych wojskowych, opowiadał nam teraz, że widział tam napisy w języku polskim, co świadczyło niechybnie o pobycie tam jeńców polskich. Tak więc propaganda sowiecka nic nie mogła w tej sprawie wskórać.

Jedzenie nadal było fatalne: trzy razy dziennie kapusta, tzw. "szczy". Podejmowaliśmy nawet strajki głodowe, zawsze bez rezultatów. Denerwowało nas zwłaszcza to, że ziemia rosyjska jest wyjątkowo urodzajna a my na tej ziemi siedzimy głodni. Nie trzeba było prawie żadnych zabiegów agrotechnicznych, a plon był okazały. Tam wystarczyło wetknąć w ziemię rozsadę kapusty a do jesieni - bez zabiegów pielęgnacyjnych - wyrastała głowa kapusty o średnicy jednego metra. Ale tę rozsadę trzeba było do ziemi wetknąć. Tego jednak nie było komu zrobić. Ciekawa, bardziej chyba jednak nieludzka była mentalność miejscowych władz. Kiedyś kilku naszych kolegów wyszło na pole zebrać porzucone kartofle. Podkreślam: chodziło o porzucone kartofle. Wszystkich ich w czasie zbierania tych ziemniaków zastrzelono: niech się zmarnuje - wziąć nie wolno i koniec. Inny, typowy w tamtejszych warunkach obrazek: pracujemy na polu. Obok, drogą przechodzi miejscowy Rosjanin i patrząc przed siebie woła do nas, "broś kartoszkę na drogę." "Ależ człowieku, mówimy, bierz ile chcesz. On nadal swoje: "broś kartoszkę na drogę." Rzuciliśmy. On, nadal nie odwracając głowy w naszą stronę przysiadł na drodze i rękoma



trzymanymi nadal w kieszeniach, w których, jak się okazało, były na tę okoliczność wyrwane dziury, zbierał ziemniaki. Taki był tam stopień zastraszenia społeczeństwa.

Tam pozostawaliśmy do stycznia 1946-go roku. Nadal swoją akcję rozwijał w obozie tzw. "oddział osobowy", zwany przez nas "biały domek" od miejsca, do którego wzywano delikwentów na przesłuchania. Zawsze nocą, po cichutku. Przesłuchujący siedział za biurkiem w rozpartej pozie absolutnego władcy a w uchylonej szufladzie biurka tkwił pistolet, też nieodłączny element atmosfery przesłuchania. Byłem tam i ja. Jak się zorientowałem, przesłuchania miały związek z toczącym się wówczas w Moskwie "procesem Szesnastu" czyli gen. Okulickiego i pozostałych przywódców Polski Podziemnej. Pewnej nocy wezwano mnie i zapytano o Jasiukiewicza. Odpowiedziałem, że w naszej kompanii jest trzech Jasiukiewiczów. Nic konkretnego o nich nie mogę powiedzieć, bo poznałem ich dopiero tu. Indagującemu wyraźnie chodziło o to, że może któryś z obozowych Jasiukiewiczów jest w jakiś sposób związany z sądzonym w procesie Okulickiego i jego kolegów Jasiukiewiczem i że może coś tu uda się mu przypisać.

Ponieważ znałem język rosyjski, mianowano mnie finansistą batalionu. Moja praca polegała na tym, że wędrowałem po wsiach i obliczałem wartość prac wykonanych tam przez wojsko. W samym obozie powstały załóżki zespołu: Jasiukiewicz grał na gitarze, Bernard Ładysz nieco śpiewał a Henryk Czyż dyrygował. Niektórzy koledzy jakimś sposobem zdołali nawiązać kontakty z Wandą Wasilewską ale ta odpowiedziała, że nie interesuje jej żadna burżuazyjna partyzantka.

Nadal, formalnie byliśmy żołnierzami Armii Czerwonej choć bez mundurów. Ponieważ nasilały się ucieczki, wzmożyły się naciski na nasze zwolnienie. Władze obozowe obawiały się bowiem, że

nie zdołają się rozliczyć z nas, co byłoby nowym kłopotem w dodatku na tle sprawy Katynia. Presja dała rezultat: zwolniono nas w styczniu 1946-go roku. Do dziś jestem w posiadaniu dokumentu z którego jednoznacznie wynika, że zwolnił mnie Urząd Bezpieczeństwa. Do dziś nie wiem, dlaczego zwolnił mnie właśnie Urząd Bezpieczeństwa i od czego mnie zwolnił. Po powrocie do kraju zacząłem szukać rodziny, o której od lat nie miałem żadnej wiadomości. Po jakimś czasie odnalazłem w Krakowie brata, wówczas studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego i od niego dowiedziałem się o reszcie rodziny, repatriowanej, jak się okazało, w poznańskie. Trzeba było przystąpić do kontynuowania nauki przerwanej przez wojnę. Przed Wielkanocą 1946-go roku poszedłem do Liceum w Wolsztynie. Poznaniacy, o których mogę mówić tylko dobrze, okazali mi wiele serca: przyjęli do internatu i umożliwili zdawanie egzaminów i to w sytuacji, gdy nie miałem żadnych, dosłownie żadnych dokumentów. Matematykę zdałem z wielkim trudem a historyczka wielkodusznie ofiarowała mi sześć tygodni na powtórzenie materiału. Liceum skończyłem na przełomie lat 1948/1949. Przymierzałem się na Politechnikę Poznańską ale za późno dowiedziałem się o terminie egzaminów wstępnych. W rezultacie zdawałem w terminie dodatkowym i to na dwa kierunki: na rolnictwo i architekturę i na oba kierunki dostałem się. Przez pierwszy rok studiowałem obie specjalności ale po roku zdecydowałem się na architekturę, którą skończyłem w 1952-gim roku. Egzamin magisterskie zdawałem w 1954-tym roku już jako nauczyciel Technikum Budownictwa Przemysłowego w Gdańsku.

Jeszcze w czasie studiów, w 1951-ym roku byłem na wczasach studenckich w Nysie. Tu zetknąłem się późniejszymi znaczącymi osobami na naszej scenie politycznej. Byli tam m.in. Emil Wojtaszek oraz Marian Berman, syn osławionego Jakuba. Zauważy-

łem, że każdej niedzieli fundowano nam jakieś zabawy " w kółko graniaste." Było wiadomo, że chodziło o odcięcie nas od kościoła. Postanowiłem temu się przeciwstawić: nie zamierzam bawić się w "kółko graniaste" pomimo, że tak bardzo wierzącym nie jestem. Jestem studentem architektury a tu w okolicy jest tyle ciekawych zabytków, których nie mogę nie zobaczyć. Jakoś nie spotkały mnie z tego tytułu żadne represje.

Po ukończeniu studiów znalazłem się na Śląsku z nakazu pracy ale wkrótce, gdy miałem możliwość wyboru - zdecydowałem się na wschodnią Polskę - Białystok. Wileńskie pochodzenie wyraźnie mnie tu ciągnęło. Tu, przez wiele lat pracowałem jako architekt miejski. Dużo by o tym mówić. Powiem tylko tyle, że różnie to w tej naszej powojennej rzeczywistości bywało. Tu przeszedłem na emeryturę.

Notował: Stanisław Sianko.

